

BEZPIECZEŃSTWO NARODOWE

15 LAT W NATO

Na drodze do NATO – okruchy wspomnień

s. 21–39

Na drodze do NATO – okruchy wspomnień

Janusz Onyszkiewicz

Przystąpienie do NATO w 1999 r. było dla Polski wielkim sukcesem, dzięki któremu ostatecznie wymazano pojałtański podział Europy. Droga do akcesji do Sojuszu nie była jednak prosta – w jej ramach należało przekonać nie tylko państwa zachodnie do wyrażenia zgody na rozszerzenie NATO, ale również zdobyć poparcie polskiej sceny politycznej dla tego projektu. Nie należy również zapominać, że na początku lat 90. na Zachodzie trwała poważna debata na temat zasadności istnienia i kształtu Sojuszu po zakończeniu zimnej wojny. W ostatecznym rozrachunku Polsce udało się jednak sprostać piętrzącym się przed nią wyzwaniom i 12 marca 1999 r. przystąpić – wraz z Czechami i Węgrami – do NATO.

Kiedy 12 marca 1999 r. stałem obok premiera Jerzego Buzka na placu Józefa Piłsudskiego w momencie, kiedy po otrzymaniu wiadomości o podpisaniu w amerykańskiej miejscowości Independence traktatu zapewniającego Polsce członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim wciągano na maszt flagi Polski i NATO, nie mogłem oprzeć się poczuciu ogromnej wagi tego wydarzenia. Dopiero bowiem w tym momencie można było stwierdzić, że pojałtański podział Europy odchodzi w przeszłość. Uczuciu temu towarzyszyła też ogromna satysfakcja, bo chociaż rozszerzenie objęło przecież także Czechy i Węgry, to było od samego początku jasne, że główny ciężar walki o członkostwo będzie spoczywał na polskich władzach, bowiem to Polska tworzyła dla NATO całkowicie nową jakość geopolityczną i głównie to polskie członkostwo było przedmiotem wielkich kontrowersji, a także zdecydowanego oporu ze strony Rosji. Innymi słowy – bez Polski całe rozszerzenie nie miałyby większego znaczenia i w związku z tym niemal na pewno nie mogłyby do niego dojść.

Nie jest moją intencją przedstawianie całej długiej i pełnej czasem dramatycznych zwrotów drogi przebytej do tego pamiętnego momentu. Procesowi pierwszego od upadku komunizmu rozszerzeniu NATO poświęcono –

i słusznie – cały szereg książek i rozpraw, najczęściej pisanych z perspektywy Waszyngtonu. Sam także przedstawiłem swoje wspomnienia z tej drogi już w 1999 r.¹. Chciałbym w tym artykule odnieść się jednak do kilku aspektów często pomijanych, choć ważnych, i do kilku wspomnień, pokazujących sposób myślenia mojego środowiska politycznego, które w walce o nasze członkostwo w NATO odegrało – jak sądzę – główną rolę.

Po akcesji Polski do NATO rozgorzała wielka debata, kto pierwszy wysunął sprawę polskiego członkostwa i kto w związku z tym może rościć sobie prawo do ojcostwa tego projektu. I tu warto może przypomnieć fakt, w tych dyskusjach często zapominany, a mianowicie publikację w styczniu 1990 r. w „Życiu Warszawy” artykułu, w którym przedstawiona została propozycja ubiegania się Polski o członkostwo w Sojuszu. Pikanterii tej publikacji przydaje osoba jej autora, Wiesława Górnickiego, dobrze pamiętanego jako czołowego propagandysty władzy w okresie stanu wojennego, ale który pisząc ten artykuł zajmował stanowisko szefa pionu politycznego w urzędzie ówczesnego prezydenta, Wojciecha Jaruzelskiego. Nic więc dziwnego, że propozycja ta nie wzbudziła szerszych reakcji, można nawet powiedzieć, że została całkowicie zignorowana. Nie można jednak powiedzieć, że podobne projekty nie pojawiały się gdzie indziej. Na przykład, na Węgrzech ówczesny minister spraw zagranicznych – jeszcze wtedy komunistycznego rządu – Gyula Horn, zgłosił postulat wejścia Węgier do NATO, ale temat ten nie został podchwycony, nawet na Węgrzech.

Nie wchodząc w chronologię dalszych wypowiedzi o potrzebie wejścia Polski do NATO, warto zwrócić uwagę na ich historyczny kontekst. Po pierwsze, należy pamiętać o tym, że przez parę pierwszych lat po 1989 r. przyszłość samego Sojuszu nie była całkiem bezdyskusyjna. W debacie przewijało się przecież kilka opcji, od równoczesnego rozwiązania Układu Warszawskiego i NATO począwszy, przez transformację tej ostatniej organizacji z systemu zbiorowej obrony w system zbiorowego bezpieczeństwa, wbudowany jakoś w strukturę KBWE, aż do zachowania Sojuszu w niezmiennym składzie i kształcie jako elementu stabilizacji na kontynencie europejskim, a nawet szerzej, w myśl sformułowanej przez wpływowego amerykańskiego senatora Richarda Lugarę tezy, że NATO albo straci racje bytu, albo wyjdzie z dzia-

¹ J. Onyszkiewicz, *Ze szczytów do NATO: z ministrem obrony narodowej Januszem Onyszkiewiczem rozmawiają Witold Beres i Krzysztof Burnetko*, Bellona, Warszawa 1999.

laniami poza obszar swej dotychczasowej odpowiedzialności (*NATO out of business or out of area*).

Trzeba też pamiętać, że w 1990 r. czołowym problemem polskiej polityki zagranicznej, obok jasnego demonstrowania naszej suwerenności i pełnej podmiotowości w stosunkach z innymi państwami, było zadbanie, aby w procesie jednoczenia Niemiec i przyszłym traktacie pokojowym, który ten proces miał sankcjonować prawnie, znalazło się jasne potwierdzenie przez wszystkie układające się strony nienaruszalności zachodnich granic Polski. Później do tego doszła sprawa jak najszybszego wycofania wojsk rosyjskich z polskiego terytorium. W związku z tym należało unikać działań czy deklaracji, które mogłyby doprowadzić do wielkich napięć z Rosją, której przychylności w załatwieniu tych podstawowych interesów Polska potrzebowała. Oczywiście, gdyby szło o żywotne kwestie, to nie można by było liczyć się z opinią Rosji, ale kwestia polskiego członkostwa w NATO była w tym czasie dla zachodnich partnerów Polski czymś całkowicie „księżycowym”, a jej podnoszenie mogło jedynie przynieść nam opinię państwa, którego polityczne elity nie są zbyt dojrzałe, a są nawet dość nieodpowiedzialne. Albowiem każdy projekt polityczny, jeśli ma mieć jakieś skutki praktyczne, musi być przedstawiony w odpowiednim czasie. Historia bowiem jest pełna propozycji, które nie wywołały nawet poważniejszej debaty, bo wyprzedzały swój czas. Wystarczy przypomnieć, że już w latach 20. XX w. ówczesny minister spraw zagranicznych Francji, Aristide Briand, wysunął projekt utworzenia unii polityczno-gospodarczej państw Europy, która to idea zmaterializowała się dopiero kilkadziesiąt lat później.

Co natomiast było w początkowym okresie ważne i praktycznie do zrobienia, to demontaż Układu Warszawskiego i budowanie kontaktów wojskowych z krajami NATO. Temu służyły nie tylko deklaracje o tym, że Polska nie traktuje NATO jako choćby potencjalnego przeciwnika (a ta deklaracja została złożona jeszcze kiedy Polska była formalnie członkiem Układu Warszawskiego), ale także choćby wizyta grupy amerykańskich generałów, którzy – z polskiej inicjatywy – w czerwcu 1990 r. spotkali się w Warszawie z grupą generałów polskich. Warto tu przypomnieć, że amerykańskiej delegacji przewodniczył generał James McCarthy, głównodowodzący sił zbrojnych USA w Europie, a w jej skład wchodził również generał John Shalikashvili, który w niedalekiej przyszłości miał objąć najwyższe stanowisko wojskowe w NATO, a później także funkcję przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA. Innym przykładem „oswajania” NATO z polskimi

wojskowymi (a także osvajania ich samych z Sojuszem) była wizyta naszego szefa Sztabu Generalnego w Kwaterze Głównej Sojuszu w Brukseli wiosną 1991 r. czy późniejsza wizyta w Warszawie Naczelnego Dowódcy Sił NATO w Europie gen. Johna Galvina. Po moim wejściu do MON kontakty wojskowe z krajami zachodnimi jeszcze bardziej się nasiliły, aż do zaproponowania zachodnim partnerom korzystania z naszych – jakże dla nich atrakcyjnych – poligonów.

Istotnym elementem budowania wiarygodności Polski stał się 1990 r. i kryzys, a następnie wojna w Zatoce Perskiej. Nie będę przypominał, jak ważne dla oceny jakości i wiarygodności polskich służb wywiadowczych było wywiezienie z Iraku agentów służb amerykańskich, bo jest to rzecz dobrze znana. Nie docenia się jednak innych działań – współpracy polskiego wywiadu wojskowego z partnerami z USA i Wielkiej Brytanii. Chodziło tu o dostarczanie informacji o potencjale wojskowym Iraku, ilości i parametrach broni oraz innego wyposażenia (np. radarów), którymi dysponowało irackie wojsko. Od naszych anglosaskich partnerów (o których już wtedy mówiliśmy nieoficjalnie „sojusznicy”) otrzymywaliśmy długie i bardzo precyzyjne listy pytań, na które dostarczaliśmy duże ilości materiałów, wprawiających w zdumienie ich odbiorców, czemu dawali zresztą wyraz w licznych, pełnych uznania podziękowaniach. Ważny też był natychmiast zadeklarowany udział wojskowy w tej operacji w postaci dwóch okrętów i jednostki saperskiej, która miała wejść do akcji w wypadku użycia przez Saddama Husajna broni chemicznej.

Obok kontaktów wojskowych rozwijały się też kontakty polityczne. Zaczęło się od zaproszenia polskich posłów na obrady Zgromadzenia Parlamentarnego NATO w Rzymie jesienią 1989 r. Zgromadzenie Parlamentarne nie jest częścią struktur Sojuszu, ale jest forum spotkań i debat przedstawicieli parlamentów krajów członkowskich. Z jednej więc strony, Zgromadzenie może sobie pozwolić na znacznie większą elastyczność niż przedstawiciele rządów państw NATO, ale z drugiej strony obecność na takim forum znaczących parlamentarzystów stwarza znaczną możliwość pośredniego wpływania na stanowisko władz poszczególnych państw.

Po pewnej przerwie, obecność parlamentarzystów Sejmu i Senatu RP na spotkaniach tego zgromadzenia stała się czymś stałym. I choć w obradach nie mogą brać udziału przedstawiciele rządów, polski status – a przez dłuższy czas był to status gości czy nieformalnych obserwatorów – dawał Polsce większe pole manewru. W efekcie, nawet jako wiceminister czy później mi-

nister, mogłem przez kilka lat, od 1990 r., przewodniczyć polskiej delegacji do Zgromadzenia.

A działały się tam rzeczy całkiem interesujące. Przede wszystkim, dzięki obecności parlamentarzystów z Rosji, można było wejść z nimi w publicznie oglądaną i ocenianą debatę na temat architektury bezpieczeństwa w nowej Europie, w tym przyszłości Sojuszu, a także innych struktur bezpieczeństwa, jak Wspólnota Niepodległych Państw z zawartym w 1992 r. Układem Taszkenckim, który nie tylko miał charakter wojskowego sojuszu, ale który miał stopniowo stawać się kopia NATO. Uczestniczenie w ogólnych debatach, choć z początku ograniczone statusem gości i obserwatorów, umożliwiło także polskiej stronie przedstawienie się jako rozsądny i konstruktywny partner, którego warto wysłuchać.

Cały czas zastanawialiśmy się, jak jeszcze bardziej związać z nami Sojusz. Z początkiem sierpnia 1990 r. nawiązaliśmy stosunki dyplomatyczne z NATO, co było poprzedzone wizytą ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego w siedzibie NATO w Brukseli, a we wrześniu tegoż roku odwiedził Polskę sekretarz generalny Sojuszu Manfred Wörner.

Istotne były deklaracje Sojuszu, że bezpieczeństwo krajów Europy Wschodniej (dzisiaj powiedziałoby się Europy Środkowo-Wschodniej) nie jest rzeczą obojętną (później, bo jesienią 1993 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, powiedział to dobitniej M. Wörner, stwierdzając, że „gdyby Polska znalazła się w niebezpieczeństwie, to nie pozostalibyśmy obojętni”). Te deklaracje nasunęły pomysł, żeby nieformalnie uzyskać od NATO dodatkowe zapewnienia konkretnej pomocy w wypadku, gdyby Polska znalazła się w sytuacji zagrożenia. Chodziło o powtórzenie znanego z czasów II wojny światowej amerykańskiego planu *lend lease*. W jego ramach Stany Zjednoczone, pozostając ciągle poza konfliktem w Europie, zapowiadały udzielenie Wielkiej Brytanii rozmaitego sprzętu wojskowego. Było przecież wiadomym, że członek NATO – Niemcy, dysponują po NRD ogromnymi ilościami sprzętu, amunicji i innego wyposażenia wojskowego, które mogłoby być niezwykle przydatne dla Polski. Po uzyskaniu akceptacji dla tej inicjatywy ze strony ministra K. Skubiszewskiego, przedstawiłem ją sekretarzowi generalnemu NATO podczas swojej kolejnej wizyty. Reakcja M. Wörnera była bardzo pozytywna – prosił jedynie, aby przychylność dla tej idei nie została upubliczniona.

Warto dodać, że w owym czasie świeżo w pamięci wszystkich był tzw. pucz Janajewa z sierpnia 1991 r., w którym chodziło o „powrót do przeszło-

ści”, a fakt, że do niego doszło pokazywał, że sytuacja w Rosji nie musi być tak stabilna i przewidywalna, jak się wówczas wydawało.

W Polsce sprawa NATO zaczęła stopniowo pojawiać się w politycznym dyskursie. Zaczęło się to od wystąpienia K. Skubiszewskiego w Sejmie, który w swoim wiosennym *exposé*, składanym w imieniu rządu Jana Olszewskiego, stwierdził niemal mimochodem, że członkostwo w NATO winno stać się naszym celem perspektywicznym. Do jakiego stopnia traktowano tę zapowiedź jako kwestię dalekiej przyszłości może świadczyć fakt, że nikt nie powrócił do tej sprawy w debacie. Jedynie Konfederacja Polski Niepodległej przypominała o swojej koncepcji „międzymorza”, wypowiadając się zatem przeciwko natowskiej perspektywie.

Sprawa dojrzała do dobitnego postawienia dopiero za rządu Hanny Suchockiej. Sytuacja zewnętrzna była wtedy znacznie bardziej klarowna. Traktat o wyprowadzeniu wojsk rosyjskich był podpisany, a ostateczna data ich wycofania ustalona. NATO było już po okresie niepewności co do swej przyszłości, a Polska jawiła się jako solidny, przewidywalny i wartościowy partner.

Najlepszą ku temu okazją miała być wizyta premier H. Suchockiej w NATO, która odbyła się w październiku 1992 r. Jeszcze w samolocie ustaliliśmy, że uczynimy z tego główny punkt naszego przesłania i że ja będę tę sprawę referował. Wysłuchano naszego stanowiska z pewnym zainteresowaniem, a reakcja na szczęście nie była taka, jak jeszcze parę lat temu, kiedy na pytanie prasy o rozszerzenie NATO padła sucha i zamykająca sprawę odpowiedź, że „nic nie wskazuje na to, aby taki wariant był rozważany”. Na zwykłej przy okazji takiej wizyty konferencji prasowej sekretarz generalny NATO mógł co prawda powtórzyć tylko, że zgodnie z Traktatem Waszyngtońskim Sojusz może przyjmować nowych członków, ale było jasne, że od tego momentu sprawa rozszerzenia NATO przestaje być jedynie mało realistyczną koncepcją intelektualną a staje się elementem rzeczywistej polityki.

Okazją do przeniesienia tej sprawy przez Atlantyk była moja wizyta w USA wkrótce po wizycie w siedzibie NATO. Czas to był szczególny, bo z jednej strony kończyła się kadencja prezydenta George’a Busha, a z drugiej zaczynała się dopiero kształtować nowa ekipa Billa Clintona. Osoba prezydenta-elekta budziła w Polsce pewien niepokój. W końcu było wiadomym, że jego znajomość i zainteresowanie problematyką polityki międzynarodowej i bezpieczeństwa jest w porównaniu z jego poprzednikiem ograniczone, w kampanii wyborczej zapowiedział redukcję wojsk amerykańskich

w Europie, a jego mottem było zawołanie „ekonomia, głupcze!”. Można było mieć uzasadnione obawy, że sprawa rozszerzenia NATO nie wejdzie przez długi czas na amerykańską wokandę.

Z pomocą, jak zwykle, pospieszył Zbigniew Brzeziński. Zaprosił, oprócz mnie, na roboczą kolację niewielkie, ale specjalnie dobrane grono polityków amerykańskich, co do których można było sądzić, że w nowej ekipie będą odgrywać znaczącą rolę. Byli wśród nich Madeleine Albright i Richard Holbrooke. Przedstawiłem polskie racje za rozszerzeniem NATO, oczywiście w tym duchu wypowiedział się też mocno Z. Brzeziński. Okazało się, że w tym gronie jest duże zrozumienie dla tej koncepcji, a zarówno M. Albright, jak i R. Holbrooke zadeklarowali się jako zdecydowani jej zwolennicy. Stało się jasne, że w nowej ekipie będziemy mogli liczyć na obecność przychylnych rozszerzeniu osób.

Dokonałiśmy też przeglądu państw, na których poparcie można będzie liczyć i takich, które do poparcia można będzie namówić. Bilans wypadł obiecująco. Jeśli o mnie chodzi, to prawdę mówiąc obawiałem się stanowiska Francji, która w wypadku podjęcia sprawy rozszerzenia przez USA mogła, jak to często bywało, demonstrować swój dystans wobec inicjatyw amerykańskich. Na niechęć Francji mogło mieć również wpływ przekonanie, że przyjęcie nowych państw – przede wszystkim Polski, znanej ze swego proamerykańskiego nastawienia – może osłabić francuską pozycję w Sojuszu. Moi rozmówcy, dzieląc moje obawy, byli jednak zdania, że „w końcu uda się nam wziąć Francję na pokład”.

Przeprowadziłem też szereg rozmów z osobami typowanymi na urząd sekretarza obrony i mogłem z zadowoleniem stwierdzić, że sprawa nie jest przez nich kategorycznie odrzucana (nawiasem mówiąc, żaden z nich tego stanowiska nie dostał, a przypadło ono ostatecznie Lesowi Aspinowi, który jednak nie piastował go zbyt długo). Jakiś czas później, w trakcie konferencji organizowanej przez Aspen Institute, mogłem porozmawiać z senatorem R. Lugarem, a także Billem Perry’em, który wkrótce miał objąć po L. Aspinie stanowisko sekretarza obrony. O ile R. Lugar stał się wkrótce jednym z ważniejszych i bardziej wpływowych zwolenników rozszerzenia, to B. Perry, aczkolwiek wcale nie przeciwny tej koncepcji, uważał, że to sprawa dalszej przyszłości.

Pozostawała teraz sprawa zbudowania w Polsce odpowiednio silnego zaplecza politycznego dla tego programu. W tym bowiem czasie nie było tak, jak wielu dziś uważa, że nasze członkostwo było powszechnie popierane

jako coś oczywistego. O oporach KPN już była mowa, a nie była to w owym czasie siła marginalna.

Niewiadomą było stanowisko Polskiego Stronnictwa Ludowego. Można się było domyślać, że jest ono negatywne, ale wydawało się, że nie musi to być stanowisko bardzo silnie ugruntowane, jako że PSL mocno stawiało jedynie swoje interesy partyjne związane z elektoratem wiejskim bądź interesem swojego aparatu. Pozostawała skrajna prawica, o której było wiadomo, że będzie przynajmniej w części przeciwna, a która dysponowała pokaźną liczbą głosów w Sejmie.

Największym problemem wydawało się w tym czasie stanowisko lewicy, a więc przede wszystkim Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, czy szerzej – Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Taka obawa nie była całkiem bezpodstawna. W kręgach polskiej postkomunistycznej lewicy dominowało bowiem myślenie o bezpieczeństwie Polski raczej w kontekście OBWE i ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa, aniżeli w kontekście członkostwa w NATO. Aby się o tym przekonać, wystarczyło sięgnąć do „Trybuny”, prasowego organu tej partii. Właśnie na łamach tego pisma jeden z czołowych polityków lewicy Tadeusz Iwiński pisał wyraźnie, że wstępowanie do Sojuszu byłoby błędem. Inni członkowie tej formacji, jak Józef Oleksy, zajmowali nieco ostrożniejsze stanowisko, postulując poczekanie, aż NATO samo ostatecznie określi, czym chce być, i uzależnić ewentualną decyzję o członkostwie od wyniku tej debaty, z nadzieją wszakże, że w ostatecznym efekcie Sojusz upodobni się do OBWE.

Nie było jednak tak, że w SLD brakowało zupełnie zwolenników naszego wejścia do NATO jako sojuszu obronnego. Rekrutowali się oni przede wszystkim spośród polityków uczestniczących w posiedzeniach Zgromadzenia Parlamentarnego Sojuszu, gdzie podtrzymywali oficjalne stanowisko polskiego rządu. Udział w tych obradach i bezpośredni kontakt z przedstawicielami państw NATO dał im możliwość zobaczenia z bliska, czym Sojusz naprawdę jest, jak działa i na jakich wartościach jest oparty.

Czołową postacią w tym gronie był Longin Pastusiak, którego wsparcie dla naszego członkostwa poszło tak daleko, że konsultował się ze mną, jakich argumentów używać do przekonania SLD do tej wizji. Momentem krytycznym były wybory parlamentarne w 1993 r. Przyniosły one całkowitą klęskę prawicy i znaczną marginalizację KPN. Tym samym problem ich stosunku do rozszerzenia NATO przestał być tak bardzo istotny. Zwycięzcą wyborów została lewica i to SLD wraz z PSL miało stworzyć rząd. Pojawiło

się pytanie, jaki będzie program tego rządu, a w szczególności, jakie będzie jego stanowisko wobec zadeklarowanego już planu ubiegania się o członkostwo w Sojuszu. Ta sprawa nie stanowiła jednakże żadnego ważnego punktu w negocjacjach programu nowo powstającego rządu.

Sprawa wróciła jednak przy okazji tradycyjnego wiosennego *exposé* ministra spraw zagranicznych, którym wówczas był Andrzej Olechowski. W swoim wystąpieniu nakreślił program polityki zagranicznej nowej Rady Ministrów, który był w zasadzie całkowitą kontynuacją polityki poprzednich, solidarnościowych rządów, z aspiracjami do członkostwa w NATO włącznie. Występując w imieniu parlamentarnego klubu ówczesnej Unii Demokratycznej nie mogłem oprzeć się pokusie, aby ten element kontynuacji podkreślić, ze szczególnym uwzględnieniem witanej z radością zmiany stanowiska wobec członkostwa Polski w Sojuszu po stronie obu koalicjantów. Odpowiadając na moje wystąpienie prof. Jerzy Wiatr (od dawna zwolennik naszego członkostwa) przyznał, że istotnie SLD zmieniło zdanie wobec polskiego członkostwa w NATO, także ze względu na kolejny dowód niestabilności w Rosji, której dobitnym przejawem był konflikt między prezydentem Borysem Jelcynem a Dumą Państwową, który doszedł to takiego napięcia, że skończyło się to wprowadzeniem czołgów na ulice Moskwy i „rozstrzelaniem” rosyjskiego parlamentu. To jasne przyznanie się do zmiany stanowiska traktowałem jako świadectwo rzetelności intencji i w następnych miesiącach w ten sposób argumentowałem na rozmaitych forach wiarygodność, jeśli chodzi o politykę wobec NATO, ówczesnego polskiego rządu. Tak więc, w związku z polską sceną polityczną, sytuacja wydawała się jasna. Wszystkie znaczące siły polityczne były za wstąpieniem Polski do Sojuszu. Głównym i w zasadzie jedynym polem zmagania pozostawała zagranica.

Próbując przekonać sceptyków o potrzebie i celowości rozszerzenia NATO, trzeba się było zmierzyć z szeregiem argumentów na „nie”, które od razu zaczęły się pojawiać.

Pierwsza grupa zastrzeżeń wiązała się z relacjami z Rosją. Podnoszone były obawy, czy rozszerzenie NATO o państwa byłego bloku wschodniego nie odtworzy sytuacji ostrej konfrontacji, jak to miało miejsce w czasach zimnej wojny, co całkowicie zniweczyłoby nadzieje na wytworzenie w stosunkach z Federacją Rosyjską atmosfery współpracy i uczynienia z niej konstruktywnego partnera („Rosja nie jako problem, ale część rozwiązania”). W tym kontekście często pojawiał się argument, że rozszerzenie NATO może również odwrócić procesy demokratyzacyjne w Rosji.

Polska odpowiedź na te zastrzeżenia brzmiała, że rozszerzenie Sojuszu to jednocześnie rozszerzenie strefy stabilności i przewidywalności w Europie. Odmowa przyjęcia nowych członków to nie podtrzymanie braku podziałów, ale zakonserwowanie starych, jeszcze pojałtańskich. Poczucie bezpieczeństwa, jakie daje członkostwo w NATO, osłabi w państwach dawnego bloku sowieckiego ryzyko zbyt nerwowych politycznych reakcji na rozmaite działania Rosji w sferze bezpieczeństwa i umożliwi ich interpretację na zasadzie „wątpliwości interpretować na korzyść podejrzanego”. Ponadto zwracaliśmy uwagę, że Polska (główny przecież „podejrany”) nie ma żadnego interesu w przyczynianiu się do wzrostu napięcia między Sojuszem a Rosją, a wręcz przeciwnie, będzie jej zależeć na spokoju i współpracy. Ponadto polskie członkostwo w NATO powinno ułatwić rozwój jej stosunków dwustronnych z Rosją, podobnie jak to się stało ze stosunkami między Niemcami i ZSRR. Dialog stał się przecież łatwiejszy po tym, jak RFN została całkowicie zaintegrowana i zintegrowana w strukturach europejskich i atlantyckich, dzięki czemu całkowicie jasne były warunki brzegowe prowadzonych rozmów.

Jeśli chodzi o stosunek Rosji do rozszerzenia NATO, to nie bez znaczenia była wizyta B. Jelcyna w połowie 1993 r. w Warszawie, kiedy to udało się prezydentowi Lechowi Wałęsie namówić go do stwierdzenia, że wejście Polski do NATO nie narusza podstawowych interesów Rosji, a jest realizacją przyjętej przez wszystkich zasady, że każde państwo ma prawo do wchodzenia w sojusze wojskowe według własnego uznania. Co prawda pod naciskiem wewnętrznym rosyjski prezydent wycofał się z tej deklaracji, ale wrażenie, że Rosja nie będzie całkowicie stawiać rozszerzenia NATO na ostrzu noża, pozostało.

Druga grupa zastrzeżeń związana była z sytuacją samego NATO po jego ewentualnym rozszerzeniu. Przede wszystkim pojawiała się kwestia, czy rozciągnięcie gwarancji bezpieczeństwa na Polskę nie jest czymś, co nie leży w gruncie rzeczy w interesie bezpieczeństwa samego Sojuszu. Polski kontrargument brzmiał, że w wypadku zagrożenia na małą skalę, Polska będzie w stanie samodzielnie sobie z tym poradzić. Gdyby jednak zagrożenie okazało się poważniejsze, to nie zniknie ono po katastrofie Polski i jej ponownym zwasalizowaniu, ale pojawi się, może w nieco innej formie, 60 km na wschód od Berlina. Lepiej więc się z nim wcześniej zmierzyć 600 km bardziej na wschód i to wspólnie z Polską.

Pozostawały jeszcze obawy, że nowe kraje członkowskie, z całkowicie inną strukturą uzbrojenia, procedurami i kulturą strategiczną, doprowadzą

do „rozwodnienia” Sojuszu i utraty przez niego zwartości, spistości i tym samym wiarygodności. Na tego rodzaju obiekcje mogliśmy odpowiedzieć, że sytuacja polityczna i strategiczna w Europie, charakteryzująca się brakiem widocznego aktualnie poważnego zagrożenia, nie stawia przed Sojuszem wymagań utrzymywania stale najwyższej gotowości. Ponadto NATO kilkakrotnie otwierało się na nowych członków. W 1952 r. do Sojuszu zostały przyjęte Grecja i Turcja, w 1955 r. RFN, a w 1982 r. Hiszpania. W stosunku do tych krajów, może z wyjątkiem Niemiec, też można by wysuwać podobne obiekcje. Pełną integrację siły zbrojne tych państw osiągnęły przecież dopiero po latach, a to wszystko działo się w całkiem innej sytuacji strategicznej, kiedy to konflikt o globalnej i wręcz egzystencjalnej skali mógł wybuchnąć w każdej niemal chwili. No i można było wspomnieć, że w czasie II wojny światowej pojawiły się na Zachodzie liczne polskie jednostki wojskowe i nie było żadnych problemów ze współdziałaniem. Jeśli zaś chodzi o sprzęt, to w NATO nie ma praktycznie jego unifikacji. Inne czołgi na wyposażeniu miały armie amerykańska, francuska, brytyjska czy niemiecka. W związku z tym pojawienie się nowych rodzajów czołgów, które posiadały Polska, Czechy i Węgry, w gruncie rzeczy niczego nie zmieni. A jeśli chodzi o jakość tego sprzętu, to należy pamiętać, że jeszcze kilka lat wcześniej wojskowi NATO bardzo się obawiali zagrożenia z jego strony.

W późniejszym okresie debat nad rozszerzeniem, jego przeciwnicy wysunęli dodatkowy argument – koszt rozszerzenia. Przedstawiane w tej sprawie opracowania *think-tanku* Rand Corporation czy – co gorsza – amerykańskiego Congressional Budget Office rysowały wręcz alarmistyczny obraz. Koszty, które winny być poniesione przez nowe kraje członkowskie, aby w wymaganym stopniu zmodernizować swoje siły zbrojne oraz infrastrukturę systemu obronnego, miały według tych opracowań być całkowicie poza zasięgiem finansowych tych państw, zmagających się przecież z kosztowną modernizacją własnych gospodarek. A do tego miały dojść idące w dziesiątki miliardów dolarów koszty, które – znów według wspomnianych opracowań – trzeba by ponieść, aby dostosować całą infrastrukturę do nowego geograficznego rozprzestrzenienia Sojuszu.

Dla polskiego rządu te szacunki były trudne do podważenia, bo taka próba musiałaby oznaczać zakwestionowanie kompetencji agendy Kongresu Stanów Zjednoczonych, instytucji, bez której przychylności nie mogło być mowy o rozszerzeniu NATO. I tu z pomocą przyszło założone w 1994 r. i działające do dziś pozarządowe Stowarzyszenie Euro-Atlantyckie, grupują-

ce na ponadpartyjnej bazie czołowe postacie polskiej sceny politycznej, którego jednym z celów były działania na rzecz członkostwa Polski w Sojuszu. W ramach tego stowarzyszenia powstał raport, zawierający odmienną ocenę kosztów rozszerzenia.

Różnica wynikała z całkowicie innego punktu wyjścia przedstawionych szacunków. Przyjęto mianowicie, że nowa sytuacja polityczna w Europie charakteryzuje się brakiem poważnego zagrożenia konfliktem o dużej skali, przez co nie wymaga przesuwania całej infrastruktury Sojuszu – linii transportowych, lotnisk, rurociągów paliwowych, nabrzeży portowych, sieci łączności itp. – do wschodnich granic Polski, kopiując tym samym zasoby, które przez lata były rozbudowywane w Europie Zachodniej a w szczególności na terenie Niemiec. Drugim założeniem, wynikającym z tych samych przesłanek, było rozłożenie w czasie procesu dostosowywania Sił Zbrojnych RP i pokazanie, że przy takim podejściu proces ten jest całkowicie realny opierając się na możliwościach finansowych państwa i deklaracjach jego władz. Później można się było powoływać na wypowiedzi rozmaitych, bardziej realistycznie nastawionych polityków czy wojskowych, jak np. zastępcy szefa Sztabu Obrony Wielkiej Brytanii marsz. Petera Squire'a, który w 1966 r. na sesji Zgromadzenia Północnoatlantyckiego powiedział, że rozszerzenie NATO nie spowoduje konieczności zwiększenia wydatków obronnych, a jedynie inną ich alokację.

O ile od 1993 r. można mówić o niemal pełnej zgodzie co do członkostwa Polski w Sojuszu na polskiej scenie politycznej (dość prędko bowiem i KPN zaniechał swoich planów budowania tzw. międzymorza), to zaczęła wynikać pewna różnica co do taktyki. Pojawiła się bowiem koncepcja postawienia na pierwszym miejscu członkostwa nie w NATO, ale w Unii Europejskiej. Nie było to pozbawione pewnych podstaw. W owym czasie polskie aspiracje do Unii nie były w żadnej mierze kontestowane przez Rosję, a popierały je zarówno Stany Zjednoczone, jak i Wielka Brytania (która zresztą przez dłuższy czas najgłośniej podnosiła groźbę osłabienia NATO w wyniku rozszerzenia) oraz inne państwa, które tę perspektywę traktowały jako sposób na odłożenie w czasie trudnego – jak się im wydawało – problemu rozszerzenia Sojuszu. Będąc w Unii Europejskiej, moglibyśmy jednakże zabiegać o przyłączenie się do Unii Zachodnio-Europejskiej (UZE) – wojskowego sojuszu głównych państw Europy Zachodniej, również opartego na gwarancjach bezpieczeństwa i to nawet dobitniej sformułowanych od tych zawartych w Traktacie Waszyngtońskim. Sama UZE, choć w cieniu NATO, zaczęła

z początkiem lat 90. zdradzać objawy ożywienia, co zostało wywołane m.in. stałą wówczas, a i do dziś nie całkiem wygasłą, intencją Francji budowania poza NATO europejskich zdolności wojskowych. Dodatkowo UZE okazało się jedyną ramą prawną dla państw Unii Europejskiej do zaangażowania sił morskich w ochronę żeglugi przez zagrożoną w wyniku wojny Iraku z Iranem cieśninę Ormuz w Zatoce Perskiej.

Przy tym sojuszu także działało zgromadzenie parlamentarne, podobne do Zgromadzenia Północnoatlantyckiego, ale oczywiście o innym składzie. Polska delegacja została zaproszona również do tego gremium i wkrótce doznała się ważnego symbolicznie, choć słabo dostrzeżonego wydarzenia. Otóż, w odróżnieniu od zgromadzenia natowskiego, gdzie polska delegacja miała nieokreślony status gościa-observatora, Zgromadzenie Parlamentarne UZE przyznało Polsce status obserwatora zupełnie formalnie, tworząc jakże ważny precedens.

Status ten nie dawał nam wprawdzie prawa do głosowania, ale umożliwiał zabieranie głosu na takich samych zasadach (a nie przez „grzeczność”), jak inni uczestnicy tego forum. Korzystaliśmy z tego intensywnie, oswajając i na tym forum parlamentarzystów krajów zachodnich z naszą obecnością i punktem widzenia. Udało się nawet dość wcześnie uzyskać akceptację dla przedstawionego przez stronę polską raportu, w którym zawarte zostało poparcie dla rozszerzenia zarówno Unii Zachodnio-Europejskiej, jak i NATO.

Argument o możliwości wejścia kilku państw, a przede wszystkim Polski, do UZE był też środkiem nacisku na zgodę na polskie członkostwo w Sojuszu. Argumentacja była dość prosta. Wchodząc do Unii Zachodnio-Europejskiej otrzymywaliśmy automatycznie bardzo mocne gwarancje bezpieczeństwa wszystkich głównych wojskowych partnerów Stanów Zjednoczonych: Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Włoch. W wypadku zagwarantowanego traktatowo zaangażowania się tych państw w obronę Polski, byłoby politycznie czymś niewyobrażalnym, żeby Stany Zjednoczone mogły pozostać w tym konflikcie obojętne. A więc – dlaczego nie NATO? Wkrótce jednak ten argument okazał się, przynajmniej w USA, dość wątpliwej jakości, jako że wyglądał nieco na szantaż, a Stany Zjednoczone niechętnie godzą się na narzucanie im jakiś rozwiązań.

Był jeszcze jeden powód, dla którego nie mogliśmy tego argumentu długo używać. Stało się bowiem jasne, że członkostwo w UZE zależy od członkostwa w Unii Europejskiej, a to wydawało się perspektywą dość odległą (choć niektórzy utrzymywali, że do Unii wejdziemy najpierw i nawet się ze mną

o to założyli – wygranej do dziś nie udało mi się wyegzekwować). I choć także na Zachodzie padały propozycje: „wejdźcie najpierw do Unii, potem się zobaczy”, to trzeba było ustawić NATO jako czasowo rzecz biorąc główny priorytet. Konieczne było to tym bardziej, że UZE zdecydowała w końcu, że o członkostwo w niej mogą się ubiegać jedynie państwa Unii Europejskiej, które są równocześnie członkami NATO. Tym samym ta droga do Sojuszu poprzez UE została więc praktycznie zamknięta.

Przy całej świadomości, jak ważne dla powodzenia polskich planów jest stanowisko Stanów Zjednoczonych, należało szukać również poparcia w Europie. Przede wszystkim u polityków, których głos mógłby się liczyć nie tylko w amerykańskiej administracji, ale także w Senacie i Kongresie. Jednym z takich polityków okazał się Volker Rühle. Zetknąłem się z nim po raz pierwszy jeszcze w latach 80., kiedy jako przewodniczący frakcji CDU-CSU przyjechał do Polski z grupą niemieckich parlamentarzystów. Ambasada Niemiec w Warszawie zorganizowała dla nich spotkanie z ówczesną solidarnościową opozycją i wtedy miałem okazję do długiej, prywatnej z nim rozmowy na tematy polsko-niemieckie, nie wyłączając znaczenia uznania polskiej granicy zachodniej dla pozbawienia komunistycznej władzy jedynej legitymizacji, na jaką mogła liczyć. Rozmawialiśmy także na temat wspólnoty interesów Polski i Niemiec, wyrażających się m.in. w tym, że oba państwa są żywotnie zainteresowane zjednoczeniem Niemiec, bo tak długo, jak istnieje NRD, szanse na zlikwidowanie Jałty i uzyskanie przez Polskę niezależności są niewielkie. Później, po 1989 r., miałem okazję spotykać się z V. Rühle wielokrotnie, aż wreszcie niemal w tym samym czasie wyładowaliśmy w ministerstwach obrony swoich państw.

Do samej idei rozszerzenia NATO nie trzeba było go długo przekonywać. Na szczęście wkrótce znalazł się jeszcze inny zwolennik rozszerzenia – Hans Haekkerup, minister obrony Danii. Obaj w bardzo dobitny sposób i niemal przy każdej okazji zaczęli propagować ideę rozszerzenia NATO. V. Rühle był w polityce „wagą ciężką”. Niestety, nie miał oparcia ani w ówczesnym ministrze spraw zagranicznych Niemiec Klausie Kinkelu, ani, co gorsza, w kanclerzu Helmutie Kohlu. Niemniej jednak głos ministrów obrony dwóch znanych z proatlantyckiego i pronatowskiego nastawienia państw odnosił pewien skutek i to po obu stronach Atlantyku.

Nie ma chyba potrzeby prezentować serii rozmaitych rozmów, spotkań i debat, zarówno formalnych, jak i kularowych, prowadzonych przez przedstawicieli rządu, parlamentu, polityków (także z partii opozycyjnych),

niezależnych ekspertów czy analityków, w których polska strona próbowała zmiękczyć opór przeciwników, zjednać wahających się i umocnić zwolenników rozszerzenia NATO. Rosnący nacisk z jednej strony na rozszerzenie, a z drugiej przynajmniej na pogłębienie i instytucjonalizację kontaktów z Sojuszem, doprowadził w końcu do tego, że w kręgach Departamentu Stanu USA pojawił się pomysł stworzenia pewnych ram dla tej współpracy. Tak narodziło się Partnerstwo dla Pokoju.

Miało ono objąć wszystkie państwa zainteresowane współpracą z NATO, w tym również te, które do członkostwa nie aspirowały – a więc także Rosję. Pojawiły się w związku z tym obawy, czy zakres tej współpracy nie zostanie zredukowany do „najmniejszego wspólnego mianownika”. Oczywiście było ważne, że przystępując do tego programu, Polska będzie w końcu miała stałą misję łącznikową przy Sojuszu, ale wymiana doświadczeń w zakresie prowadzenia operacji pokojowych nie była dla nas zbyt atrakcyjna. W końcu mieliśmy ogromne doświadczenie w tego typu operacjach, prowadzonych pod egidą ONZ i niewiele mogliśmy się w tej materii nauczyć. Polsce zaś chodziło o ćwiczenie operacji znacznie bardziej wymagających i szkolenie się w ich trakcie w procedurach i technikach walki NATO, co miało być istotne w drodze do pełnego członkostwa. Ponadto, formuła współpracy 16+1, czyli współpraca pojedynczego państwa z całym Sojuszem, mogła zakłócić rozwijającą się już wtedy współpracę regionalną, choćby w Grupie Wyszehradzkiej.

Te i inne braki sprawiły, że pojawiła się silna obawa, iż Partnerstwo to coś zamiast członkostwa a ta obawa została wzmocniona reakcją na koncepcję Partnerstwa dla Pokoju ze strony Rosji. Rosyjski minister spraw zagranicznych Andriej Kozyriew stwierdził przecieź, że Partnerstwo odsuwa rozszerzenie NATO przynajmniej o 10 lat. Chłodne przyjęcie Partnerstwa w Polsce, wkrótce wzmocnione podobnymi reakcjami w Czechach i na Węgrzech, musiało wprawić władze w Waszyngtonie w stan ostrego niepokoj. Rozpoczęły się więc szybkie konsultacje. Do Warszawy zjechała delegacja amerykańska z M. Albright i gen. J. Shalikashvilim na czele, która po przeprowadzonych z prezydentem L. Wałęsą i czołowymi polskimi politykami rozmowach, wyjechała z przekonaniem, że przynajmniej w oficjalnej interpretacji Partnerstwa musi być jasno powiedziane, że może być ono drogą do członkostwa, a program współpracy będzie dostosowany do potrzeb każdego z państw z osobna. W efekcie Partnerstwo nie spełniło nadziei Rosji tak bardzo, że w dość zaskakujący i demonstracyjny sposób odmówiła ona wzięcia w nim udziału.

Zmiana rządu po wyborczym zwycięstwie SLD jesienią 1993 r. nie musiała budzić niepokoju, jeśli chodzi o perspektywy polskiego członkostwa. Pronatowskie nastawienie nowej ekipy rządzącej było może świeżej daty, ale w Belwederze rezydował jeszcze L. Wałęsa, który był dodatkowym zabezpieczeniem. Sytuacja zmieniła się jednak po jego porażce z Aleksandrem Kwaśniewskim w wyborach prezydenckich. Będąc wtedy w Waszyngtonie i słuchając rozmaitych komentarzy, zacząłem się bardzo obawiać, czy sprawa członkostwa Polski nie zostanie odstawiona „na tylny palnik”. Wydawało się, że warto pokusić się o zbudowanie dodatkowego zabezpieczenia i gwaranta kontynuacji naszej polityki bezpieczeństwa, wykorzystując instytucję Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W moim zamyśle taka Rada winna była składać się ze znaczących politycznie osób, reprezentujących wszystkie główne siły polityczne (włącznie – a może przede wszystkim – z opozycją) i która miałaby ogromny zakres autonomii w wypracowywaniu ocen i sugestii dotyczących bezpieczeństwa państwa. Chodzić oczywiście miało o bezpieczeństwo od zagrożeń zewnętrznych, a nie o przestępczość zorganizowaną czy zajmowanie stanowiska na wypadek turbulencji społecznych. Z tym pomysłem zwróciłem się zarówno do swych rozmówców amerykańskich, jak też za pośrednictwem ambasadora w USA Jerzego Koźmińskiego do prezydenta-elekta A. Kwaśniewskiego.

Reakcje były bardzo pozytywne, więc po powrocie do kraju rozpocząłem rozmowy sondażowe z czołowymi osobami, przede wszystkim z szeroko rozumianego obozu postsolidarnościowego, sondażowałem też stanowisko hierarchii kościelnej.

Te konsultacje wypadły dobrze, jednak przeciągały się w czasie. Pojawiły się też problemy relacji tak utworzonej Rady z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego. Tymczasem coraz bardziej stawało się widoczne, że po chwilowym zaskoczeniu wynikiem wyborów prezydenckich i obawami z tym związanymi, sprawy zaczęły przybierać dobry obrót. W tej sytuacji uznałem, że utworzenie takiej Rady, przy wszystkich kosztach politycznych z tym związanych, nie jest już tak bardzo konieczne i zakomunikowałem to prezydentowi A. Kwaśniewskiemu, który przez pewien czas nosił się z myślą powołania Rady w innej konfiguracji personalnej i kompetencyjnej, ale sprawa została w końcu odsunięta na czas nieokreślony.

Warto jednak zwrócić uwagę na sytuację w Polsce, jako że tym, co mogło proces rozszerzenia spowolnić, a nawet na pewien czas zatrzymać – jak to się stało w końcu ze Słowacją – mogła stać się sytuacja wewnętrzna i podwa-

zenie zaufania do rzetelności demokratycznej transformacji ustrojowej oraz stabilności struktur i instytucji państwa.

Takie obawy zaczęły się pojawiać jeszcze za rządów „solidarnościowych”, kiedy to L. Wałęsa walczył o powiększenie swych prezydenckich prerogatyw. Nie bardzo chciał się liczyć z ograniczeniami narzucanymi urzędowi prezydenta przez obowiązującą wtedy konstytucję i zapowiadał różne radykalne działania, z rozwiązaniem parlamentu włącznie, do których to kroków nie miał żadnego konstytucyjnego prawa. Ten kryzys udało się jednak dość gładko zażegnać, a fakt, że był on wywołany przez L. Wałęsę, a w pamięci elit politycznych krajów zachodnich jeszcze świeża była pamięć o konflikcie B. Jelcyna z rosyjską Dumą Państwową sprawił, że nie rzuciło to zbyt negatywnego światła na polityczną wiarygodność Polski.

Po objęciu rządów przez postkomunistyczną lewicę jesienią 1993 r. nasiliły się problemy związane z cywilną kontrolą nad Siłami Zbrojnymi RP. Dawały one o sobie znać już wcześniej, z całą mocą wystąpiły jednak dopiero za rządów premiera Waldemara Pawlaka. Sprawa nie była wcale błaha. Cywilna kontrola bowiem jest traktowana jako jeden z ważniejszych wyznaczników decydujących o tym, czy dane państwo jest w pełni demokratyczne. Wprowadzenie tej kontroli stało się jednym z warunków uczestnictwa w Partnerstwie dla Pokoju (gdzie do spełnienia tego wymogu podchodziło dość elastycznie), ale przede wszystkim było zasadniczym warunkiem członkostwa w NATO.

Wojsko tej cywilnej kontroli nie było formalnie rzecz biorąc przeciwne, wielu z kierowniczej kadry rozumiało ją jednak jako taką kontrolę, jaką nad działaniami agend rządowych sprawuje Najwyższa Izba Kontroli, która sama niczego w wiążący sposób nie może nakazać, a w szczególności nie może rządowi narzucać jakiejś polityki. Mściło się tu odmienne znaczenie terminu *control* w języku polskim i angielskim, w którym np. wieża kontroli lotów nie sprawdza tylko, jak zachowuje się pilot, ale również kieruje jego działaniami. Ponadto wojskowi traktowali apolityczność wojska jako wyłącznie apartyjność, tzn. nieangażowanie się żołnierzy służby czynnej w działalność ściśle partyjną. Tym samym wojsko, według niektórych przedstawicieli armii, miało być nie tylko ważnym instrumentem w rękach cywilnych władz, ale mogło również być aktorem na politycznej scenie.

Przejawem tych tendencji były zabiegi ówczesnego szefa Sztabu Generalnego gen. Tadeusza Wileckiego o bezpośrednie podporządkowanie wojska prezydentowi, co doskonale współgrało z intencjami L. Wałęsy. Takie

podporządkowanie wyłączyłoby wojsko z gestii rządu, a prezydent – wobec braku stosownego aparatu, jakim jest ministerstwo obrony – nie mógłby sprawować żadnej, poza symboliczną, kontroli. Kulminacyjnym momentem tego kryzysu był tzw. obiad w Drawsku, kiedy to najwyżsi dowódcy armii, z inspiracji prezydenta i ówczesnego szefa Sztabu Generalnego, opowiedzieli się za odwołaniem ministra obrony. Co gorsza, po tym wydarzeniu premier W. Pawlak faktycznie zdymisjonował ministra obrony.

Oczywiście zdymisjonowany powinien zostać przede wszystkim szef sztabu, co jednak było niemożliwe, ponieważ dymisja musiała zostać podpisana również przez prezydenta, na co nie można było wówczas liczyć. Do sprawy można było wrócić dopiero za prezydentury A. Kwaśniewskiego, kiedy to poczyniono szereg zmian organizacyjnych i ustawodawczych oraz wymieniono szefa sztabu i kilku innych dowódców. Wtedy też ustały, podnoszone przez przedstawicieli NATO i czołowych państw Sojuszu, zastrzeżenia wobec braku cywilnej kontroli nad armią.

Pojawił się jednak całkiem inny kryzys, który mógł mieć dla natowskich aspiracji Polski fatalne następstwa. Minister spraw wewnętrznych oskarżył premiera swojego rządu – J. Oleksego – o współpracę z wywiadem Rosji. Oczywiście podobne afery pojawiały się w czasach zimnej wojny także w innych państwach. W tej sprawie Polsce pomógł nieco kryzys rozwijający się na Bałkanach, który skupił uwagę mediów. Jeśli zaś chodzi o sfery polityczne, to przekaz od naszych zachodnich partnerów brzmiał: będziemy uważnie obserwować, jak Polska sobie z tym kryzysem poradzi, czy nie będzie próby zatuszowania tej sprawy, i czy właściwie zadziałają polityczne mechanizmy naprawcze. Na szczęście podjęte przez nas działania zostały uznane za właściwe i wystarczające.

W końcu w 1997 r. Polska – wraz z Czechami i Węgrami – otrzymała formalne zaproszenie do Sojuszu. Jako termin rozszerzenia podano maj 1999 r., w 50. rocznicę utworzenia NATO. Pozostawało zmierzyć się z wymaganiami niezbędnymi, aby sprostać warunkom członkostwa. Trzeba było nie tylko zmienić wszystkie procedury, dostosować sprzęt wojskowy do standardów Sojuszu, zmienić całą kulturę strategiczną, ale również przeorganizować struktury w Ministerstwie Obrony Narodowej i dowództwie Sił Zbrojnych RP, aby pojawiły się łatwo identyfikowalne odpowiedniki podobnych struktur w NATO. Do tego trzeba było wdrożyć m.in. masowy program intensywnej nauki języka angielskiego. Panowała ogromna obawa, że nie wszystko uda się wykonać. Media wpadały w paniczne nastroje, podno-

sząc czasem całkiem wydumane zagrożenia, a czasem rzeczywiste opóźnienia. Te ostatnie wynikały m.in. z przewlekłości i skomplikowania procedur przetargowych, a w niektórych przypadkach z opóźnień ze strony zagranicznych kontrahentów.

Rząd również momentami działał nerwowo. Co dwa tygodnie trzeba było przygotowywać kilkudziesięciostronicowy skrupulatny raport o przebiegu prac. Niestety, przygotowywanie i prezentowanie takich raportów przemieniało się w wielogodzinne maratony, absorbujące czas nie tylko premiera i ministrów, ale także najwyższych dowódców wojskowych. Czas, którego często brakowało na rzeczywistą realizację wymogów.

Ponadto skrócony został okres pierwotnie przeznaczony na przygotowania. Żywiono bowiem nadzieję, że na jubileuszowy szczyt NATO, który miał odbyć się w Waszyngtonie w maju 1999 r., przyjedzie B. Jelcyn. Na tym szczycie miano również przyjąć do Sojuszu nowe państwa. Było jednak oczywiste, że na celebrowaniu rozszerzenia NATO, któremu tak bardzo – aczkolwiek nieskutecznie – sprzeciwiała się Rosja, rosyjski prezydent się nie pojawi. Wobec tego sam moment przyjęcia do Sojuszu postanowiono przyspieszyć, wyznaczając nowy termin na marzec 1999 r. To oznaczało, że musieliśmy osiągnąć gotowość do członkostwa w Sojuszu o dwa miesiące wcześniej, pomimo i tak napiętych terminów. Polsce udało się jednak sprostać temu wyzwaniu.

Kiedy znacznie później miałem okazję powiedzieć parę słów na temat polskiej drogi do Sojuszu i jak ją pamiętam, zauważyłem, że byłoby trudno orzec, kto najbardziej się w tym zasłużył, natomiast wiem jedno – gdybyśmy jednak do tego NATO nie weszli, to odpowiedzialnym za to byłbym ja, jako minister obrony narodowej.